Rok II 14 grudnia 1930. Nr. 47

DZWONECZEK

BEZPŁATNY DODATEK TYG. DO „DZWONU NIEDZIELNEGO“ Nr. 50

Sto lat kolei żelaznej

(1830 – 1930)

Kolej żelazna nie jest taką wielką staruszką, bo liczy właściwie dopiero 100 lat. Narodziła się w Anglji, do nas przyszła dużo później, tak że jeszcze dziadkowie wasi i babunie odbywali w swej młodości podróże nieraz bardzo dalekie końmi, zaprzężonymi do mocnych a ładownych bryk i karet. Takie podróże trwały długo i były bardzo niewygodne. Dziś słuchamy o nich jak o bajkach. Choć prócz kolei mamy jeszcze dużo innych środków do podróżowania, przecież kolej jest dziś najbardziej rozpowszechniona, najwygodniejsza i najtańsza.

Człowiekiem, który ten sposób podróżowania i przewożenia towarów wymyślił, był Anglik Jerzy Stefenson. Był on synem biednego robotnika, palacza we fabryce. Wykształcenia nie otrzymał żadnego prócz czytania i pisania, a miał wielką ochotę do nauki. Musiał jednak wcześnie na siebie zarabiać. Naprzód pomagał ojcu, a potem dostał się jako pomocnik mechanika do kopalni węgla. Maszyny strasznie go zaciekawiały, ale bez nauki trudno mu było je zrozumieć. Zaczął więc kupować książki i uczyć się z nich sam. Ponieważ zarabiał mało, więc zabrał się do naprawiania ubrań starszym górnikom i do naprawiania zepsutych zegarów, a co zarobił — szło na książki. Raz gdy miał lat dwadzieścia kilka, zepsuła się w tej kopalni pompa, pompująca wodę. Inżynierowie zeszli się, zaczęli radzić, ale żaden nie umiał jej naprawić. Jerzy Stefenson, który miał wrodzony talent do maszyn, a już się trochę poduczył praw mechaniki, przypatrzył się jej i naprawił ku zdumieniu wszystkich obecnych. Zaraz też dano mu posadę mechanika z dużo lepszą płacą. Zabrał się więc z całym zapałem do nauki mechaniki i matematyki, tak iż wkrótce został inżynierem górniczym. W kopalni węgla, w której się zajmował, zaczął odrazu wprowadzać ulepszenia w przewożeniu węgla. Dawne szyny drewniane, po których jeździły wózki z węglem wyrzucił, a dał żelazne i tak je poukładał, że jeden koń mógł z łatwością uciągnąć taki wózek, któremu dawniej ledwie

para dała radę. Wreszcie przyszło mu na myśl, żeby zamiast tych koni, użyć wynalezionej już przez innego Anglika maszyny parowej, jako siły pociągowej i tak długo ją majstrował, aż ruch tłoków parowych udało mu się przenieść na koła. Udało mu się to rzeczywiście. Zbudowana przez niego pierwsza lokomotywa uciągła w kopalni 8 wagonów węgla, ważących 30 tonn i szła na godz. 4 km. To już był wielki postęp. Nie poprzestał jednak na tem, ulepszał i poprawiał coraz bardziej swoje lokomotywy, aż począł je używać nietylko do przewozu węgla w kopalni, ale także naprzód do przewozu towarów z fabryk na powierzchni ziemi, a wreszcie do przewozu ludzi. Pierwsza kolej żelazna została zbudowana w r. 1830, sto lat temu między miastami Manchester, a Liverpool w Anglji. Nowość spodobała się nadzwyczajnie wszystkim. Przez całe 10 lat następnych jeździł Stefenson po całej Anglji i zakładał koleje żelazne, potem zaprosiła go Belgja a wreszcie Hiszpanja, by i u nich zakładał taką dogodną komunikację. Lokomotywy Stefensona były bardzo małe i dużo powolniejsze od naszych, z biegiem lat ulepszano je coraz bardziej, aż powstały te wspaniałe dzisiejsze lokomotywy o olbrzymich kołach i szybkie jak strzała.

Tak to skromny chłopak, syn ubogiego robotnika, stał się wynalazcą rzeczy dziś najbardziej rozpowszechnionej i najniezbędniejszej do życia gospodarczego. Kraje bogate mają dużą sieć linji kolejowych, my niestety mniejsze, zwłaszcza na wschodzie Polski. Stan ten polepsza się jednak z roku na rok i coraz więcej kolei przebiega wzdłuż i wszerz naszą ojczyznę, przewożąc ludzi i towary z jednych miejsc w drugie i pomnażając w ten sposób nasze bogactwo narodowe.

T. St.

Gdy śnieżek prószy

Prószy śnieżek, prószy,
Gwiazdki polatują,
A w mojej się duszy
Różne myśli snują.
O jasnych aniołkach
Co w niebie mieszkają,

O biednych sierotkach,
Co butków nie mają.
O ptaszkach, co głodne
W okienka pukają.
I o rączkach dobrych,
Co żywność im dają.

I o tem, jak długa,
Oj — długa ta zima.
Ciężka dla każdego,
Kto grosika niema.

A. Piotrowska Kotzmanowa

Marja Rozbierska

Pierwsze wakacje Basi

Bajeczka — ciąg dalszy.

Po powrocie do domu Józia prędko zjadła kolację i poszła spać, bo już nie mogła doczekać się ranka, ażeby odebrać od pp. Słomskich swą Basię.

Ale, że to nazajutrz była niedziela, więc po śniadaniu poszli wszyscy do kościoła do Jordanowa. Jakże się ucieszyły dzieci, gdy przy wyjściu spotkały się z nowopoznanemi letnikami.

Po krótkiej rozmowie postanowiono, że Franek z Józią pójdą z Jasiem i Marysią i odbiorą lalkę, a potem wrócą wprost do domu.

Ochoczo pośpieszyła cała czwórka do domku, w którym pp. Słomscy mieszkali. Domek ich był większy, bo prócz czterech izb na dole, miał pokoik na górze z dużym balkonem, a do pokoju wiodły wąskie schody ze sieni. Na tej górze mieszkał Janek; zaraz też zaprowadził tam Franka i zaczął mu pokazywać swoje przyrodnicze zbiory. Złapał już sporo ładnych motyli i ciem, uśpił je eterem i porozpinał na korkach; w kilku pudełkach od papierosów chodował różne gąsienice, a znów w zielniku miał ładnie ususzone i powklejane rośliny.

Janek był pracowity i zdolny chłopiec; nikt go do nauki nie potrzebował napędzać; wszystkiem się ciekawił, a już najchętniej uczył się przyrody.

— Bo to widzisz, Franku — mówił do młodszego kolegi — jak się przyglądam tak zwierzętom różnym, ich życiu, jak widzę, jak to wszystko mądrze jest urządzone, to mimowoli myślę sobie: jaki Bóg nasz mądry, jaki potężny i miłosierny, że tak pięknie cały świat urządził, że każdy najmniejszy robaczek wie, jak ma żyć i czem się żywić. — A znów kwiaty i drzewa — te, prócz podziwu wzbudzają we mnie wielką wdzięczność. Bo pomyśl tylko, Franiu, jak brzydko byłoby na świecie, gdyby nie było drzew zielonych i kwiatów różnobarwnych?

Czy wiesz, że męczy mię ogromnie myśl, że mało bardzo ludzi dziękuje Panu Bogu za ten piękny świat, a dużo dzieci bezmyślnie niszczy to, co z woli Bożej się posiało. Dlatego też co niedzielę na Mszy św. dziękuję Bogu za Jego cudne dzieła.

— Jakiś ty mądry, Janku, — powiedział Franek, którego zaciekawiły i zawstydziły słuszne uwagi chłopca.

— To nie żadna mądrość, Franiu, tego wszystkiego nauczyła mię moja mama. Ona pokazała mi celowość każdej stworzonej rzeczy i nauczyła kochać za to Pana Boga. O, bo moja mateczka, to święta i bardzo kochana!

Franek nie wiedział co ma odpowiedzieć; ale tymczasem rozległy się wołania siostrzyczek i wybawiły go z kłopotu.

— Franiu, chodź już, musimy wracać, bo tatuś dziś odjeżdża i obiad ma być wcześnie — wołała Józia, tuląc do siebie mocno swą Basię.

— Do obiadu jeszcze daleko, ale przyznaj się, że Ci się spieszy do zabawy ze swą lalką — mówił Franek schodząc ze schodów.

— Może i tak, ale cóż to dziwnego, tyle czasu byłam bez mojej laleczki.

— Samaś sobie winna, nie trzeba było wypuszczać jej z rąk w rzece, albo całkiem nie brać ze sobą.

— Kiedy to tyś winien, boś mię obryzgiwał wodą, musiałam się bronić i wtedy upuściłam laleczkę.

— Aha, sama nie dba, a na mnie winę zwala — mówił Franek już trochę podniesionym głosem.

— Dajcież pokój, nie kłóćcie się — uspakajał powaśnionych Janek, który tymczasem zeszedł też z pokoiku, ażeby dzieciom wskazać drogę do ich domu.

Franek i Józia umilkli, zawstydzeni, a podziękowawszy i pożegnawszy się z Marysią, poszli za Jankiem ku swemu domowi.

Józia nie mogła dosyć nacieszyć się odzyskaną lalką. Zaraz po powrocie do domu rozebrała ją, umyła, ubrała w czystą bieliznę i sukienkę i położyła do swego łóżka, ażeby laleczce wynagrodzić krzywdę.

Basia była tak zmartwiona i zmęczona parotygodniowem więzieniem, że dotąd nie mogła wrócić do dawnego humoru. Napróżno dziewczynka pieściła ją i wycałowywała - Basia wciąż robiła wrażenie smutnej i obrażonej.

— Pewnie mnie się tylko tak zdaje — pocieszała się Józia — że moja lalunia smutna; przecie lalki wyrazu twarzy nie zmieniają.

Nie wiedziała Józia, że to ona innemi oczami na Basię teraz patrzy.

Bo młoda lalusina mama czuła, że gdyby więcej trochę myślała o swej Basi, to ona by nie popłynęła sama jedna z prądem. Całe szczęście, że dzieci pp. Słomskich złowiły ją, inaczej przepadłaby Basia na zawsze.

C. d. n.

Kartka z pamiętnika kolonistki

Byłam na kolonji w Brzeżnej za Nowym Sączem. Kolonję tę urządził w dworze J. W. P. Hrabiny Stadnickiej Katolicki Związek Polek z Krakowa.

Pogoda nie bardzo nam sprzyjała, ale początkowe dni sierpnia były bardzo ładne, wtedy to dzień cały spędzałyśmy na łące lub w pobliskim gaiku.

Wieczory zaś spędzałyśmy najmilej w sadzie, który otaczał dworek; stała tam stara lipa rozłożysta. Wokoło niej



Kolonja wakacyjna Kat. Zw. Polek w Brzeznej

zbierałyśmy się z Siostrą Gertrudą Służebniczką, która była przy nas. Siostra opowiadała nam żywoty wielkich i świętych Polaków oraz bajki. Dnie słotne spędzałyśmy także miło, bawiąc się na werandzie, z której roztaczał się piękny widok na bliskie Pieniny.

Przed spoczynkiem śpiewałyśmy pieśni pobożne, a w niedzielę godzinki do Najświętszej Marji Panny.

Cały miesiąc zdawał mi się tak krótki, jak w Krakowie tydzień.

Nigdy nie jadłyśmy samego chleba, który tak często był naszem pożywieniem w Krakowie. To też waga każdej z dziewczynek wykazała przybytek. Mnie przybyło 3 kg.

Smutno nam było odjeżdżać, żegnałyśmy się z każdym kątem kochanego dworku, który był siedzibą naszą cały miesiąc, z ogrodem i okolicą, z widokiem gór, rzeczką, ale prze-

dewszystkiem ze łzami w oczach rozstawałyśmy się z naszemi opiekunkami, które dla nas były tak dobre.

Nieraz śnię jeszcze o tych nigdy niezapomnianych chwilach.

W Krakowie, dn. 11. XI. 1930 r. *Anna Zielińska.*

UWAGA: Dzieci, któreby chciały kupić cały rocznik „Dzwoneczka“, powinny zamówić go zawczasu w Administracji „Dzwonu”. Cena 2 zł. 50 gr.

Na jednej ławie

Ciąg dalszy.

— Franku! Co on za jeden i czemu go pan przy tobie posadził?

— Bo oni tam wszyscy za dużo broili na końcu klasy.

— A więc pan nauczyciel miał widać zaufanie do ciebie, że wpłyniesz dobrze na tego chłopca. No ale się omylił, lub zawiódł na tobie. Jego nie poprawisz, a sam się już zepsułeś.

— Mamusiu, mnie się tylko tak jakoś nie udało — zaprzeczył gorąco Karolek. — Ale postanowiłem sobie nic się do niego nie odzywać, tak, jakby go nie było przy mnie, Jasiek też mówi, że to najlepiej tak.

Mamusia siedziała chwilę cicho i patrzyła przed siebie. Potem spojrzała na synka i zaczęła głaskać jego złotą, bujną czuprynę.

— Widzisz, mój synku, ja nie myślę wcale, żeby to było najlepiej, może to jaki biedny chłopak bez rodziców, zostawiony sam sobie, nie wiesz?

— Nie wiem, przyszedł dopiero w tym roku do nas podobno z innej szkoły, gdzie go już nie chcieli dłużej trzymać.

— A widzisz, trzebaby się dowiedzieć. Jeżeli biedny i nie grzeczny, dlatego, że nim się nikt nie zajmuje, to właśnie powinieneś do niego się odzywać przyjaźnie, mile i grzecznie, on się zawstydzi czasem, że jest niegrzeczny i może się poprawi.

— Och, mamusiu, to za trudne dla mnie, bo ja go tak nie lubię!

— Muszę ci dać burę, Karolku! To tak mówi dziecko wychowane po chrześcijańsku w duchu miłości bliźniego? Co więcej powiem ci, mój synku, że ta cała twoja przykrość stała się po większej części z twojej winy!

— Jakto, miałem mu dać odpisać zadanie? — porywczo trochę spytał Karolek.

— Zaczekaj. Najprzód zamiast go przyjąć grzecznie i przyjaźnie, pokazałeś mu zaraz, że ci jego sąsiedztwo jest niemiłe i przykre. Tego nikt nie lubi.

— Bo mi było przykro za Jaśkiem!

— Możesz Jaśka bardzo kochać, a dla drugich być też grzecznym i uprzejmym. Ja was przecie tak bardzo kocham, ale zdaje mi się, że dla was właśnie wszystkie inne dzieci też kocham, a nie niecierpię ich. Dlatego choć tegó Franka nie znam, już mi go bardzo żal i chciałabym go poprawić, raczej pomóc mu do tego.

— Bo mamusia jest naprzód bardzo, bardzo dobra, a potem mamusia nie wie, jaki on niemiły!

— Ale są chyba od niego gorsi ludzie, a takich znam ja dobrze. Jeszcze to chciałam ci powiedzieć, że gdybyś mu był zeszytu nie wyrywał gwałtem, też nie byłoby doszło do katastrofy. Czekaj, — rzekła, widząc, że Karolek chce przerwać — zaczekaj aż skończę. Trzeba mu było powiedzieć grzecznie, ale stanowczo: Proszę cię, nie bierz mi zeszytu, a gdyby on mówił o odpisaniu zadania, mógłbyś mu powiedzieć, że to kłamstwo i oszukiwanie takie bezmyślne przepisywanie, ale że gotów jesteś mu to wytłumaczyć i nauczyć go, jeżeli nie rozumie. Pamiętaj sobie, że na grzeczne powiedzenie nikt nie odpowie po grubjańsku, a na niegrzeczne każdy. Rozumiesz mnie, synku?

— Rozumiem, ale mamusia żąda za trudnych rzeczy odemnie, ja się nie mogę przecież zaprzyjaźnić z Frankiem!

— Ależ, Karolku, właśnie mnie nie rozumiesz. Nietylko nie wymagam, ale nawet nie życzę sobie tego, dopóki się czegoś o tym chłopcu nie dowiem. Tylko tego chcę, żebyś był dla niego uprzejmy i grzeczny, jak zresztą dla każdego. Czy to takie trudne?

— Właściwie nie trudne, a jednak dla Franka trudne — z uporem powtarzał Karolek.

— Ja jednak mam nadzieję w moim najstarszym synku, że, chociaż jest coś trudnego, a jednak dobrego, on tego dokona, — z męstwem, jak przystało na polskiego i chrześcijańskiego chłopca — rzekła wesoło mamusia, wstała z ławki, pocałowała Karolka w głowę i weszła do domu, bo ktoś zadzwonił do drzwi wchodowych. Karolek pobiegł w ogród za młodszemi dziećmi, ale mu zabawa nie szła tak, jak zwykle. Wrócił więc do domu i siadł przepisywać zniszczony zeszyt rachunkowy. Na jego szczęście nie było tego dużo, bo to był dopiero początek roku szkolnego.

C. d. n.



Ozdoby z papieru i koralików na choinkę.

Wychodzi pod redakcją Dr. E. Estreicherowej.
Redaktorka przyjmuje (Straszewskiego 18) w poniedziałki i piątki od 10-11 i we środy od 3·30-4·30
Drukarnia „Powściągliwość i Praca“ w Krakowie, Kaz. Wielkiego 95.